

Karolina Żernicka

Doktorantka w IINiB UMK

e-mail: zernicka@law.umk.pl

## **Nie tylko rowery i tulipany... Studenci bibliotekoznawstwa w Amsterdamie**

### **Erasmus w Holandii? Czemu nie!**

„Pani Karolino, czy miałaby Pani ochotę spędzić trzy miesiące w Amsterdamie?” zapytał mnie w grudniu 1999 r. dr Bronisław Żurawski z ówczesnej Katedry Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej. „W Amsterdamie? Jak to?” spytałam wtedy zaskoczona. Byłam studentką III roku studiów licencjackich, seminarzystką na specjalności informacja naukowa, właśnie zaczynałam przygotowywać się do zimowej sesji egzaminacyjnej... Tak niespodziewanie zaczęła się moja przygoda z programem Socrates/Erasmus, któremu zawdzięczam jedno z najmiłszych wspomnień z okresu studiów.

### **Przecieramy szlaki**

Jak się wkrótce okazało, w grudniu 1999 r. podobne pytanie z ust dr Żurawskiego usłyszała jeszcze czwórka studentów bibliotekoznawstwa, i wszyscy, podobnie jak ja, zapalili się do pomysłu wyjazdu. Okazało się, że celem naszej podróży do Amsterdamu będzie Hogeschool van Amsterdam, renomowana szkoła wyższa kształcąca specjalistów z zakresu informacji naukowej, z którą Katedra właśnie nawiązała współpracę w ramach programu Socrates/Erasmus. Nasza piątka, zakwalifikowana do wyjazdu (trzy dziewczyny i dwóch chłopaków) była pierwszą grupą „erasmusową” w Katedrze, zatem można powiedzieć, że przecieraliśmy szlaki! Przed wyjazdem trzeba było dopełnić trochę formalności (podpisanie umowy o wypłatę stypendium, uzyskanie zgody dziekana na indywidualną organizację studiów itp.), ale byliśmy wszyscy tak podekscytowani podróżą, że nie stanowiło to dla nas większego kłopotu. Pozostało jeszcze – bagatela! – zaliczenie wszystkich egzaminów w sesji zimowej, bo przecież jechać trzeba z czystym studenckim sumieniem... Wreszcie wszystko było związane na ostatni guzik – przynajmniej tak nam się zdawało. A więc ruszamy!

### **Pierwsze koty za płoty**

Do Amsterdamu przybyliśmy wczesnym rankiem 15 lutego 2000 r. Wysiedliśmy z autokaru (były to czasy jeszcze przed ekspansją tanich linii lotniczych), rozejrzeliśmy się wokół i stwierdziliśmy, że... nikt na nas nie czeka! Okazało się, że wskutek nieporozumienia Holendrzy z Hogeschool oczekiwali nas zupełnie kiedy indziej. No ale skoro już byliśmy na miejscu, nie wypadało nas odesłać z powrotem do Torunia! Zorganizowano dla nas szybko noclegi w schronisku młodzieżowym – nie był może luksusowy (mieszkaliśmy wszyscy

w jednym pokoju), ale za to znajdował się w samym sercu miasta! To stamtąd mieliśmy codziennie wyruszać na piesze wyprawy do Hogeschool przez najbliższe dwa tygodnie.



**Pierwsze dni w schronisku – warunki polowe, ale humory dopisują!**

### **Odkrywamy Amsterdam**

Niedogodności związane z naszym zakwaterowaniem wcale nas jednak nie martwiły – humory dopisywały, a wrażenia z eksploracji Amsterdamu rekompensowały nam troskę o to, jak sobie poradzimy finansowo – wszystko wydawało się nam bardzo drogie (walutą w Holandii były wtedy jeszcze guldeny). Wkrótce jednak odkryliśmy tanie sklepy (nieoceniona sieć Lidl!), a dzięki temu, że poruszaliśmy się głównie pieszo (by oszczędzić na kosztach komunikacji miejskiej) udało się nam zobaczyć naprawdę dużo: słynne amsterdamskie kanały z barkami mieszkalnymi, urocze kamieniczki ściśnięte jedna przy drugiej, tysiące rowerów (i ich szalonych właścicieli), rynek kwiatowy, kolorowy tłum tubylców i turystów zjeżdżających do miasta w poszukiwaniu zabawy i wrażeń. W łagodnym niderlandzkim klimacie wiosna powoli budziła się do życia, a Amsterdam z dnia na dzień wydawał się nam ciekawszy.



**Typowe amsterdamskie widoki...**

### **Nie tylko przyjemności**

Po dwóch tygodniach spędzonych w schronisku nadal nie było dla nas stałej kwatery, rozlokowano nas zatem tymczasowo w prywatnych mieszkaniach nauczycieli z Hogeschool. Jednocześnie podjęliśmy studia w naszej uczelni – zajęć nie było może porażająco dużo, ale wystarczająco, by codziennie pojawiać się w szkole. Językiem wykładowym był oczywiście angielski, co jednak nie stanowiło żadnego problemu zarówno dla wykładowców, jak i studentów. Holendrzy świetnie mówią po angielsku, dla nas była to jednak poważna próba praktycznej znajomości języka. Sama szkoła robiła na nas wrażenie swoją nowoczesnością – wielopiętrowy wieżowiec, szkło, windy, laboratoria komputerowe, wszędziebylskie karty magnetyczne (jedna karta pełniła funkcję legitymacji studenckiej, karty bibliotecznej, przepustki do punktu ksero i talonu na posiłki w uczelnianej kafeterii). Wykładowcy traktowali nas z ogromną życzliwością i z całych sił starali się godnie pełnić honory gospodarzy – byliśmy zapraszani na integracyjne spotkania w restauracji i w prywatnych domach, zorganizowano dla nas wypad do najciekawszych miejsc pod Amsterdamem...



#### **Kontakty towarzyskie kwitły...**

Dbano także, abyśmy skorzystali jak najwięcej naukowo – wzięliśmy udział w konferencji, zwiedziliśmy sporo nowoczesnych bibliotek holenderskich, zorganizowano dla nas także spotkanie z „prawdziwym” specjalistą informacji z dużej korporacji. Do naszej dyspozycji były oczywiście pracownie komputerowe, gdzie mogliśmy przygotowywać się na kolejne zajęcia (oraz utrzymywać kontakt z domem pisząc maile czy konwersując na czacie)... „Where are you from?” pytali nas na początku holenderscy studenci. Wkrótce jednak wszyscy przyzwyczaili się do widoku naszej grupki na zajęciach i w laboratoriach komputerowych.

#### **Mamy stałą kwaterę**

Po pierwszych trzech niefortunnych tygodniach pobytu w Amsterdamie udało się wreszcie znaleźć dla nas stałe zakwaterowanie. Zajęliśmy piętro domu w podmiejskiej dzielnicy, skąd codziennie kolejką dojeżdżaliśmy na uczelnię. Zajęcia, zwiedzanie, spotkania towarzyskie, ale i rosnąca tęsknota za bliskimi – tak upływały nam dni. Naszą „małą stabilizację” przerywały od czasu do czasu nieprzewidziane zdarzenia, np. pewnego dnia okazało się, że nie mogę pobrać z bankomatu mojego sokratesowego stypendium (choć w polskim banku zapewniano, że nie będzie z tym żadnego kłopotu)! Co robić?? Zapasy gotówki kończyły się drastycznie... Na szczęście mogłam liczyć na pomoc moich współtowarzyszy. Z odsieczą wyruszyła także delegacja pracowników Katedry, którzy wybierali się akurat z wizytą do naszej Hogeschool. Przywieźli ze sobą nie tylko zasoby pieniężne, ale także „przesyłki specjalne” od moich kolegów z roku. Nigdy nie zapomnę pakietu „gorących kubków”

przesłanych w trosce, abym miała co jeść w razie ostrego kryzysu finansowego! Jak mawia mądre przysłowie, prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie...

### **Czas wracać...**

Nastał kwiecień i powoli zaczęliśmy myśleć o powrocie do Polski. Najpierw należało jednak rozliczyć się z zajęć na uczelni... Coraz częściej popołudnia spędzaliśmy na intensywnej pracy nad pracami zaliczeniowymi. Nie ma to jednak jak zgrany zespół! Męska jego część rozgryzała technologiczne problemy elektronicznych baz danych, natomiast część damska czuwała nad edytorską i językową stroną prac. Dzięki tak sympatycznej współpracy udało nam się z sukcesem zaliczyć wszystkie przedmioty i uzyskać stosowne potwierdzenia.

Powoli zbliżał się koniec naszego pobytu w Amsterdamie. Żal nam było opuszczać to piękne i szalone miasto, ale tęsknota za bliskimi też zaczęła dawać się we znaki... Poza tym czekały nas obowiązki studenckie w Polsce. Moi współtowarzysze mieli przed sobą egzamin magisterski, ja – licencjacki.

Do Torunia wróciliśmy w pierwszych dniach maja. Zdążyliśmy zaaklimatyzować się w Toruniu i zaszaleć jeszcze podczas Juwenaliów, a potem nadszedł czas wytężonej pracy... Zostały dwa miesiące, aby dokończyć pisanie pracy licencjackiej i zdać egzamin z historii książki!! Trzeba przyznać, że był to ciężki czas – nadrobić zaległości z blisko trzech miesięcy nieobecności nie było łatwo... Do dziś pamiętam słynne „nocki” w pracowni komputerowej w sali 139! Na szczęście wszystko skończyło się szczęśliwie, w lipcu 2000 r. zostałam dumną posiadaczką tytułu licencjata!

### **Erasmus – przygoda na całe życie**

Od tego czasu minęło blisko 10 lat. Zmieniły się uczelnie partnerskie Instytutu, wysokość wypłacanego stypendium, a program utracił Socratesa w nazwie... Jednak idea Erasmusa wciąż pozostaje ta sama – możliwość studiowania na zagranicznej uczelni, okazja, by sprawdzić się w międzynarodowym środowisku, podszlifować język i zwiedzić nowe zakątki Europy. Co prawda czasami zaskoczyć mogą nieprzewidziane trudności (vide nasze kłopoty z zakwaterowaniem), wysokość stypendium nie pozwala na zbytne „szaleństwa” i nie wszystkie przyjaźnie zawarte podczas wyjazdu wytrzymają próbę czasu... A jednak „erasmusowy” wyjazd jest wyjątkowy – pozwala uwierzyć w siebie, nabrać samodzielności i otwartości. No i jest niezapomnianą studencką przygodą! Gdy ktoś teraz pyta mnie: „Czy warto wybrać się na Erasmusa?”, odpowiadam: „Jasne, że tak!”

Toruń, marzec 2010 r.